

Bioregionalizm: nasze przyrodnicze i kulturowe ojczyzny. Listy od czytelników

Ten podwójny, wakacyjny numer „Dzkiego Życia” postanowiliśmy poświęcić w dużej mierze problemom naszych korzeni, tradycji, związków z miejscem, w którym przyszło nam przebywać. Od dawna dostawaliśmy listy od czytelników dotyczące ich związków (lub braku) z regionem, miejscem zamieszkania. Oddajemy im głos. Interesująco korespondują oni z poszukiwaniem transcendentnej platformy współżycia ludzi, narodów i przyrody przez Vaclava Havla i przypomnieniem naszej plemiennej tożsamości przez J.W. Hardina.

Każda istota ma przypisane do siebie miejsce. Zwierzę czy roślina ma swoje siedlisko, swój ekosystem. Dla człowieka miejscem tym jest bioregion. Dla każdego człowieka powinien istnieć bioregion, z którym człowiek ten mógłby się identyfikować. Tymczasem ja nie mam takiego bioregionu.

Patrząc na świat wokół, widzę miejsca i przypisanych do tych miejsc ludzi. Uświadamiam sobie, że nie ma już prawie miejsc, do których nie byliby przypisani jacyś ludzie. Miejsca najmniej przekształcone przez człowieka mają swoich opiekunów, strażników. Natomiast miejsca tzw. opuszczone, bezludne, to przeważnie te, które noszą na sobie głębokie ślady, żeby nie powiedzieć blizny ran zadanych kiedyś przez człowieka. Człowiek stał się nieodłącznym elementem każdego miejsca. Wokół mnie człowiek zburzył harmonię, przypisał sobie rolę lidera pośród żywiołów w kreowaniu miejsca, jego estetyki i składu jakościowego, a taka postawa zawsze prowadzi do katastrofy.

Nie mam długich korzeni zapuszczonych głęboko w jakieś miejsce i nigdy ich nie miałam. Urodziłam się w miejscu przypadkowym dla moich rodziców, a obcym dla moich dziadków. Przywieźli ze sobą strzępy swojego starego, bioregionu: jedni akcent lwowski i ruskie pierogi, drudzy ukraiński język, inną religię i trochę pięknych haftów. Przywieźli to wszystko jak ziarna obcych, egzotycznych roślin. Jedne z nich nie przyjęły się na obcej dla siebie ziemi i nie wykiełkowały, inne wręcz przeciwnie, wyrosły ponad miarę, wypierając wiele rodzimych gatunków, zabierając im przestrzeń, zakłócając ekosystem. Jestem częścią bezładnego i nieładnego bioregionu, którego część biologiczna kryje się wśród egzotycznych, przywiezionych tu w ostatnich latach gatunków i pod asfaltem ulic. Bioregionu, w którym absolutnie dominującym elementem są zmieniający się nieustannie ludzie. Wraz z nimi zmieniające się bezustannie wpływy kultur, a raczej strzępów kultur pochodzących z zupełnie innych bioregionów. To taki śmietnik odpadów różnych kultur. Gdzieś na dnie, pod śmieciami spoczywają pozostałości autentycznego miejsca. Miejsca, które i tak nie byłoby moim bioregionem.

Jednak noszę w sobie ślady wielu miejsc i wielu ludzi, przypisanych do nich. Każdy z nas ukształtowany jest przecież przez miejsca i istoty składające się na te miejsca. Najstarszym śladem jest ogród na tyłach kamienicy, w której mieszkałam z moją babcią i ciotkami. Była tam (ciągle jeszcze jest) stara grusza, busz malinowy, miliony winniczków i mała sadzawka z żabami. Tam poznawałam przeróżne robaki. Dżdżownice, szczypawki i inne potwory. Wiem, że babcia prowadziła mnie do lasu, który był niedaleko, ale w ogóle tego lasu nie pamiętam. Pamiętam babcie w kontekście tego lasu. Przychodziła do domu i malowała olejne obrazy z pejzażami z tego lasu. Byłam zachwycona tymi obrazami. Babcia nauczyła mnie kochać przyrodę. Była pełna duchowości, którą pragnęła i mnie przepelnić. Potem było mieszkanie w nowoczesnym bloku. Po drugiej stronie ulicy był stary familok, w którym mieszkali rodowici Ślązacy. Rosłam w poczuciu odrębności. My, to byliśmy ci nowi, dzieci na ogół wykształconych ludzi mówiących czystą polszczyzną. Oni, to ci po drugiej stronie ulicy, w starym domu bez wygód, dzieci górników, mówiące śląską gwarą. Na szczęście zaraz obok była łąka. Tam, przy ogniu i udawanych papierosach z suchych łądek pokrzyw

wszelkie podziały znikają.

Brak określonej tożsamości kulturowo-narodowej sprawił, że obce były dla mnie podziały na „hanysów i goroli”, Ślązaków i Zagłębiaków, na Polaków i Ukraińców, Niemców, czy w końcu Żydów. Nie rozumiałam uwag dorosłych, ich lęków i dyskrecji co do miejsca pochodzenia. To niewątpliwym dar, jaki otrzymałam od mojego bezładnego bioregionu.

Bardzo trudno określić, skąd biorą się dziś obrońcy przyrody, wrażliwcy, pasjonaci, ludzie dzicy. Nie ma wspólnego rodowodu, nie ma podobnych bioregionów, z których ludzie ci mieli by się wywodzić. Czytając poniższe fragmenty listów można odnieść wrażenie, że im „gorszy” bioregion, bardziej ucywilizowany, przekształcony, czy wręcz zniszczony, tym większa tęsknota za jego autentycznością. Ale to wielkie uproszczenie. Tak naprawdę dalecy jesteśmy od zdefiniowania wszystkich czynników budujących naszą tożsamość. Warto jedynie uwierzyć, że siła przyrody, „siła miejsca”, jego dzikości, jest nieograniczona. Przenika najtwardszy beton, najgrubszy asfalt i drzemie w pozornie najbardziej martwym mieście na świecie.

Marta Lelek

Drukujemy poniżej obszernie fragmenty listów jakie nadeszły do „Dzikiego Życia” w związku z ideą odnajdywania własnego bioregionu; obszaru mającego swoją długą historię przyrodniczą i krótszą kulturą. Każdy z nas ma swój bioregion, każdy z nas może się stać strażnikiem swojego bioregionu, ale najpierw musimy się zdecydować czego i dlaczego chcemy bronić. Jak się okazuje wielu z nas jest dziećmi miasta do tego stopnia, że poszukiwania swych „plemiennych” korzeni rozpoczynamy od wspomnień sięgających nawet czasów sprzed dzieciństwa.

Moja mała ojczyzna - Bojszowy, to wieś leżąca na historycznej Ziemi Pszczyńskiej, pomiędzy dopływami Wisły Gostynką a Korzyńcem. Były to niegdyś (gdy już człowiek porzucił zbieracko-łowiecki tryb życia) tereny typowo rolnicze. Praca na roli nie była łatwa, wymagała ogromnego wysiłku, ale ludzie od dzieciństwa przyzwyczajeni do niej nie obawiali się trudów dnia codziennego. Dzisiejsze chorowite społeczeństwo nie miałyby szans przetrwania w ówczesnych warunkach.

W czasach, kiedy obecne „zdobycze” cywilizacji nie były ludziom znane, inaczej pojmowano świat. Jako że jedynym środkiem transportu były własne nogi lub fura, świat sprowadzał się do obrębu własnej gminy. Ludzie nie umieli czytać, ich styczność z resztą świata była nikła, wyrastali w ścisłym związku ze swoim miejscem, a tym samym z przyrodą. Nawet małe dzieci zamiast chodzić do szkoły (nie mówiąc o oglądaniu telewizji, czy graniu na komputerze) całe dni spędzały wśród przyrody, pasąc krowy. To była dla nich szkoła życia i jak mówią dzisiaj, będąc starymi ludźmi - najwspanialsza.

Całe życie „musieli” współbrzmieć z przyrodą. Wiedzieli o jej bogactwach i o tym jak rozsądnie należy z nich korzystać. Okoliczne „grube” lasy darowały latem jagody, jesienią grzyby, zimą opał. Niestety, nastąpiła nowa era. Świat został zasypany coraz to nowymi wynalazkami. Zaczęła się pogoń za zdobyczami cywilizacji. Coraz więcej żądano od przyrody. Druga połowa obecnego wieku położyła kres w miarę zgodnej współpracy człowieka i przyrody. W niewielkiej odległości od siebie powstały trzy kopalnie. Krajobraz wzbogacił się o mnóstwo kominów, przysłonięte szarą zasłoną niebo i szkody górnicze. Praca w kopalni pozbawiła ludzi poprzedniego kontaktu z przyrodą. Dawne spacerunki po lesie, spotkania i rozmowy zastąpił telewizor.

Dawniej ludzie znali swoje miejsca, w których mieszkali. Chętnie spędzali czas w lesie, dobrze znali jego mieszkańców. Obawiali się go nocą, ale to z zupełnie innych, obcych nam teraz powodów. Nocą

las wypełniał się mnóstwem demonicznych postaci: Skrzatów, Straszków, Nocnic. Bagna, rzeki i stawy zamieszkiwali Utoplce. Południce pilnie strzegły zboża. Także inne miejsca miały swoich nocnych mieszkańców. W razie spotkania którejś z wymienionych postaci wystarczyło najczęściej – czyste sumienie. Albo nosić różaniec. Albo np. bić Utoplca tylko od lewej. Spotkanie z duchem nie zawsze kończyło się nieszczęśliwie; zdarzało się, że duchy zaprzyjaźniały się z ludźmi i pomagały w różnych sytuacjach. Jednak utrzymywano, że należy unikać tych szczególnych miejsc nocną porą. Dobry czas dla duszków bojszowskich skończył się wraz z nadejściem górnictwa węglowego. W okolicznych istniejących jeszcze lasach nie ma już prawie w ogóle jagód, coraz mniej grzybów, nie ma też duszków. Mimo to boimy się lasu, – nie wiadomo dlaczego. Nie znamy go! Wolimy telewizor, czy komputer. Jest nam zupełnie obojętne, gdzie mieszkamy. Chociaż może nie do końca. Widząc w telewizji programy o dalekich, wspaniałych i pięknych krajach tęsknym wzrokiem wodzimy po mapie, ubolewając nad tym, że mieszkamy w tak zanieczyszczonym i zniszczonym regionie. Chętnie wyjeżdżamy i podziwiamy obce miejsca, często nie wiedząc o tym, że tuż obok znajduje się rezerwat króla puszczy – żubra. Nie czujemy szacunku do otaczającej nas przyrody, do naszego miejsca. Nie kochamy go, a tyle przecież powinno nas z nim łączyć. Przecież temu, że nasze miejsce skłania nas coraz częściej do opuszczenia go na zawsze jesteśmy sami winni. Rozejrzyjmy się wokół. Zobaczmy co straciliśmy, ale też co jeszcze mamy.

Dawniej ludzie wyrastali w poczuciu głęboko zakorzenionej kultury, tradycji, języka, stroju. Ich świat z wolna odchodzi w niepamięć. Wiekowi mieszkańcy bojszowskiej gminy ze smutkiem w oczach spoglądają na zmiany, które z ich punktu widzenia oznaczają upadek. Wartości wpojone w dzieciństwie już nie obowiązują. Nikt nie chce bać się straszków. W wyobraźni dzieci zamieszkał „Batman” i „Tygryś Maska” z filmów wideo. Młode pokolenie wstydi się swej mowy, wstydi się przyznać, że mieszka na wsi. Ale jest paru miejscowych działaczy na rzecz utrwalenia resztek starej kultury i tradycji. Alojzy Lysko, to jeden z nich. Jest autorem książki „Duchy i duszki bojszowskie”. Dosłownie w ostatniej chwili udało mu się spisać opowieści, ludowe klechdy o dziwnych wydarzeniach i postaciach zamieszkujących niegdyś zakątki wiejskie i uroczyska leśne. Abyśmy nie przegapili ostatniej chwili, w której można uratować ostatnie uroczyska, bagna, stawy i łąki, a może powrócą kiedyś na nie Topielice, Śmierćki i Jaroszki, Meluzyny, Podciepy, Diobły, Świetle i Strzygonie.

Anna Targiel

Teraz siedzę i piszę. Mój malutki, pełen światła pokój, zawieszony jest gdzieś pod szczytem wysokiego domu z wielkiej płyty. Światło, stół, kartka, za oknem panorama wielkiego miasta. Jest to kraniec Warszawy, kilkunastoletnie blokowisko rani horyzont nad miarę ostrymi krawędziami domów. Niebo w dziwnym odcieniu głębokiego granatu z każdą chwilą robi się coraz ciemniejsze. Rozpoczyna się codzienny koncert przejeżdżających samochodów – rytuał nadchodzenia nocy.

Jest to miasto, miasto w całym znaczeniu tego słowa i gorzej. To przestrzeń pełna nowych bloków, wielkich budów i gołej ziemi – gigantyczna sypialnia stolicy, miejsce bez ducha, stylu i historii. Jest to jedno z takich miejsc, gdzie słowo bio-region brzmi jak drwina. Tego tu nie ma.

Jak długo może żyć drzewo, które odcięto od korzeni? Ludzie wokół mnie mówią, że ich miasto rozwija się, że wzrasta, ale ja myślę inaczej. Z mojego osiedla znikają ostatnie dzikie miejsca, odchodzą zwierzęta i ptaki. Zanim zbudowano domy rósł tu las. Potem jeszcze długo stały gdzieś tam stare drzewa, a w cienistych miejscach rosły typowo leśne rośliny. Kiedy byłam dzieckiem spędzałam długie godziny w miejscach, które były pozostałościami dawnego, przedmiejskiego krajobrazu. Za moim domem rozciągała się ogromna łąka gdzie rosły rozłożyste

jabłonie, gnieździły się ptaki, kumkały żaby. Pamiętam też kwiaty, dzikie kwiaty, których było wielkie mnóstwo, i z których co wiosna splotałam grube wieńce. Czas jednak nie stoi w miejscu. Nasze miasto rozwija się – mówią ludzie.

Moje wspomnienia z dzieciństwa są już bardzo blade. Na miejscu łąki stoją domy i parkingi, wycięto ostatnie stare drzewa, od lat nie widziałam tu żaby, prawie nigdzie nie rosną już dzikie kwiaty. Po wybudowaniu warszawskiego metra wyschły wszystkie strumienie w okolicznym lesie, opadło jedyne jeziorko. W małym lasku pośrodku osiedla ktoś wyciął wiele drzew, bo tak podobno dla ludzi bezpieczniej. Można i tak, bo życie staje się coraz wygodniejsze, coraz przyjemniejsze, coraz łatwiejsze. W końcu tylko to się liczy – mówią ludzie i tracą samych siebie. Drzewo nie przeżyje bez korzeni.

Dla mnie bioregion oznacza czas i miejsce. Nikt nie jest liściem miotanym kaprysem fali życia. Nikt nie jest przypadkiem, kosmiczną pięścią bez celu i sensu. Mamy historię, bo przeszłość niezliczonych epok geologicznych, skał, roślin, zwierząt i słońca jest naszą przeszłością. Mamy też czas, bo terażniejszość w nas samych wzrasta wraz z każdym liściem i wiosennym pąkiem na drzewie. Przyszłość wszystkich istot to także nasza przyszłość. Jesteśmy zakotwiczeni w czasie, ale człowiek wymyśla własne czasy i teraz żyje w panicznym lęku, że jest tylko przypadkiem. Cywilizacja odchodzi od bioregionu i stwarza własne strachy. Ekologia zrodzona z cywilizacji jest ekologią strachu.

Tam gdzie mieszkam mam swoje tajemne miejsca. Przychodzę, żeby wziąć udział w Zgromadzeniu. Bioregion jest domem wszystkich istot – miasto jest tylko dla człowieka. W mieście zawsze króluje antropocentryzm. Ludzie sadzą rośliny, a gdy one wyrosną mówią z dumą: popatrzcie, to nasze dzieło. Ale to co prawdziwe jest zawsze dzikie. Pośród dzikości dopiero widać jak człowiek o świecie wyrasta z rośliny. Miasta nie potrzebują więcej parków i ogrodów. Miasta potrzebują dzikich miejsc. Moje tajemne miejsca są naprawdę dzikie, dlatego nie wróżę im długiej przyszłości. Co roku jest ich coraz mniej. Kiedyś nie będę miała dokąd pójść. Wtedy nie będę już sobą...

Odkąd pamiętam mieszkam w wielkim mieście. Każdego dnia, przez wszystkie lata i zimy, wiosny i jesienie przemierzam ten sam, surrealistyczny pejzaż. Kamienne ściany bloków, aż po najdalszy horyzont; widoki pospolite, aż do bólu. Ulica, sklep, przystanek, dni wciśnięte w łatwo powtarzalne schematy. Nawet to, co było tu kiedyś dzikie i wolne przystosowuje się, umiera. Uciekam przed miastem. Chowam się w moje tajemne miejsca. Chowam się w gwiazdy i fazy księżyca.

Chowam się w wietrze i we wschodach słońca. I żyję jeszcze w chwaście na trawniku.

A teraz siedzę i piszę. Noc, za oknami światła latarni i monotony szum samochodów. Ściany z betonu, stół, światło, kartka. Ludzie mówią o mnie, że jestem z miasta.

Ta, która przychodzi od Ziemi, Magda

Oto wierszyk, który stworzyłem niedawno, po pieszej wędrówce z Katowic do Mysłowic:

miasto
za obwodnicą leżą bagna
nikt stąd pieszo nie ucieknie
z mojego okna widzę dwa kominy
sterczące jak znak zwycięstwa

Smutny obraz Górnego Śląska i wielkich, przemysłowych miast otoczonych autostradami. Dzisiaj

świeciło słońce i było o wiele lepiej. Byłem w Katowicach (dla mnie najpiękniejszym mieście) i upijałem się zapachem rozgrzanego, wyludnionego tramwaju, sunącego po lśniących szynach. Można zaszałeć! Jestem dzieckiem miasta i swą naturę odkrywam w betonie. Ludzie nieświadomi dziwią się, gdy radosny szaleję od zapachu zroszonego deszczem asfaltu. Ale to jest to! Odkrywam nieustannie! Lubię zapach spalin! Jest w tym coś. Ale tym nie można oddychać. Jest to krótka przyjemność. Dlatego działałem proekologicznie. Byliście tu kiedy? Tu nie ma czystych rzek. Co mamy chronić!? Dla dzieci tutaj ekologia staje się pustym terminem, przedmiotem w szkole. Gdyby te miliony ludzi wyprowadzić stąd w Bie szczady, dostaliby obłądu. Koleżanka opowiadała mi o dziecku górnośląskim, które na widok sarny w lesie zawołało: - kangur! Jestem przerażony. A jednak upajam się miastem. Cóż mi pozostało. Myślę, że jesteśmy już mocno zmutowanym pokoleniem. Co wakacje wyjeżdżam w okolice Brodnicy. Starzy ludzie mówią tam podobnie jak na Śląsku. Czuję się tam jak w bajce. Cóż za alternatywa niezgwałconej ziemi. Czasami się boję, chociaż lubię miasto. Od jakiegoś czasu zamierzam zorganizować dla kilku zainteresowanych warsztaty ekologiczne w mieście. Spotkanie, najlepiej w wyludnionym czasie, rankiem, na katowickim rynku, usiąść w kręgu, rozłożyć dłonie i wchłaniać dźwięki, kolory, zapachy i drżenie wstającego ze snu miasta. Czuję potrzebę zdziałania czegoś dla miasta, o mieście. By mieszkańcy zauważyli w budynkach skały, na trawnikach drzewa. Ochrońmy to! Kulturę miasta. Wielkie przestrzenie zawałone wieżowcami. Czy kiedyś w tym miejscu wyrosnie zboże? Miasto ma swój urok. Jest piękne. Jest niestety nieuniknione. Ludzie się w nim niszczą, bo nie są społecznością grupy, to jest idiotyzm. Bo niby dlaczego walczą między sobą o miejsca dla swych samochodów...? [...]

Adaś Rypiórasta Owca

Jestem dzieckiem nowego miasta (Tychy zaczęto budować niemal od zera w latach 50., jako realizację idei architektów i polityków chcących uszczęśliwić swoją wizją mieszkańców Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. Były symbolem nowoczesności, a projektanci zbierali nagrody państwowe - red.).

Od zawsze mieszkałem w bloku z wydrążoną w środku klatką schodową (ciemno, jak w Maroku - zauważył pewnego razu sąsiad z góry). Za oknem kilkanaście identycznych bloków; trzy większe, dalej pawilon handlowy, wolno stojący kiosk ruchu. Tyskie osiedle nazwane bardzo po nowoczesnemu - F1.

To było, od bardzo wczesnego dzieciństwa, moje najbliższe otoczenie. Tu, będąc małym chłopcem, czułem się swojsko.

Trochę dalej jest kawałek wsi, jeden ze starych tyskich przysiółków. Kilka niby ulic, niby wiejskich, nierównych dróg, trochę starsze, ceglane domy, ale są też nowe prostopadłości. A przede wszystkim pełno przykrych zapachów. I często naprawdę dużo błota. W sumie inaczej niż na moim osiedlu. Czuję się tam nieszczególnie.

Z osiedlem i przysiółkiem sąsiaduje nieduży las. Dużo brzoź, jeszcze liczniejsze sosny Tam może i lubiłem chodzić, ale zdecydowanie bardziej wolałem wycieczkę do wesołego miasteczka lub jazdę samochodem ojca. Nieporównanie więcej przeżyć. I pewnie gdyby przez ten las przeprowadzono szeroką drogę, przy niej, dla większego urozmaicenia, postawiono stację benzynową. to uznałbym, że wszystko jest w porządku. Urodzony i wychowany w rozwijającym się mieście pragnąłem jego ekspansji, bo przecież nowe i moje powinno zastępować stare i obce.

Kiedyś dokonałem ważnego dla mnie odkrycia. Otóż bardzo interesowałem się historią Ciekawili mnie dzieje najróżniejszych ludów i krajów. Pasjonowały subtelności i meandry polityki dynastycznej

monarszych rodzin. I oto okazało się, że swoją przeszłość, którą można próbować opisać i którą warto poznać ma również ten niepozorny skrawek ziemi, na której przyszło mi mieszkać! Dawno, dawno temu, obszar mojego dzisiejszego osiedla był malutką częścią prastarej, pełnej zwierząt, starych drzew i różnych niespodzianek puszczy śląskiej. Pierwotna ludność pierwszych, nielicznych osad znała każdy zakątek lasu, w którym praktycznie mieszkała. Nadawała im swoje nazwy. I tak „mój” obszar nazwano „Zawiść”. Jest to bardzo stara nazwa oznaczająca fragment lasu, w którym spotykano często roślinę zwaną „zawisły”. Zawiść długo pozostawała niezamieszkała. Dopiero 200 lat temu osiedliło się tu kilku tuskich chałupników. Tak powstał przysiółek, któremu pozostawiono starą nazwę Zawiść. Przysiółek ten rozwijał się bardzo powoli, drastyczna zmiana nastąpiła dopiero 30 lat temu. Wówczas właśnie rozpoczęto budowę nowego miasta, zaprojektowanego według nowej wizji „od podstaw”, powstało osiedle F. Szybko zmienił się okoliczny i krajobraz. Na miejscu pól i łąk wyrosły wielkie budynki. Z niegdyśjszej puszczy pozostał przekształcony już bardzo, niewielki kawałek zwany dziś „loskiem”, Nagle, w jednym miejscu zamieszkało kilka tysięcy ludzi. Tak powstał nieproszone świat mojego dzieciństwa.

Ukrywający się w inicjałach G.W.